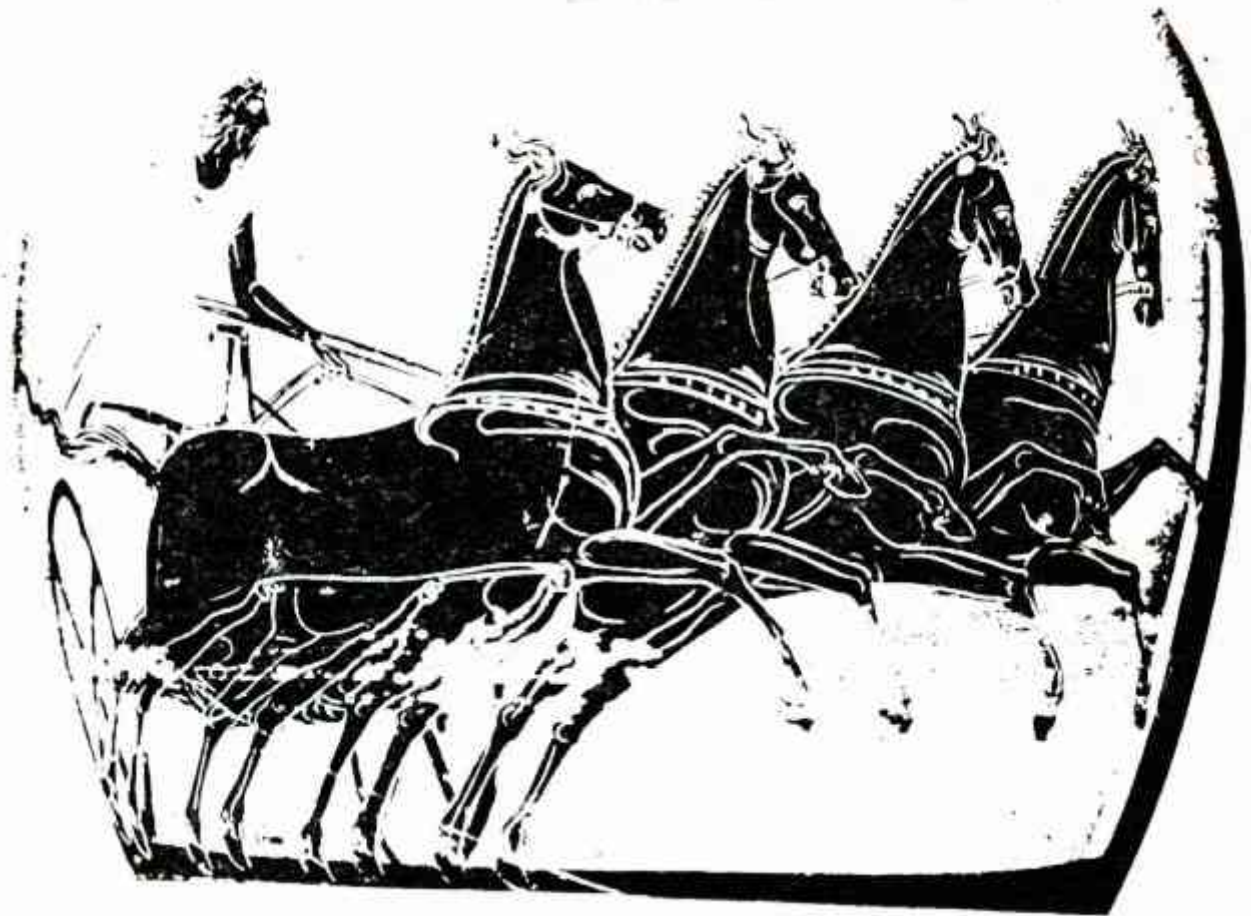


Konno po medale

Witold Domański



Zwycięska kwadryga przed metą. Malowidło na amforze panatenajskiej z IV w. p.n.e.

Piękne, kochane, wierne stworzenie, przyjaciel człowieka od wieków. Skąd się jednak wziął koń na naszym globie? Nie miejsce tu na naukowe wywody, sięgnijmy więc po legendę.

Na dzikich terenach Arabii żył lud, który nie miał swego języka. Bóg podarował mu więc swój język, język aniołów, którym jest do dziś arabski. Ludzie, jak to zwykle oni, używać zaczęli języka do różnych celów, jeden tylko z nich — Izmail, syn Abrahama — nie nadużywał daru bożego, lecz chwalił nim dobroczyńcę. Pewnego dnia zjawił się u niego na pustyni w oazie z akacjowych drzew Archanioł Gabriel, podarował konia i rzekł: Bóg przysłała ci w nagrodę za wierność swego największego przyjaciela, którego zowie „połykaczem wiatrów“. I od tej chwili koń towarzyszy człowiekowi, a mimo że minęły wieki i człowiek sam sobie stworzył o wiele szybsze środki lokomocji, nic nie jest w stanie zastąpić rumaka, na którego grzbiecie najlepiej się odczuwa smak wiatru.

Jak to było dawno? Kiedy człowiek udomowił konia, na którego przez wieki całe patrzył z pożądaniem, gdy ten żył w stanie dzikim i był dla pana ziemi nieuchwytny? Wieści głoszą, że nastąpiło to około 3000 lat przed naszą erą. Potwierdzają to rysunki wykopaliskowe, pochodzące z Syberii.

Ujarmienie konia nie było rzeczą łatwą. Musiało ono chyba wyglądać podobnie, jak to często obserwujemy na filmach, kiedy widać tabuny dzikich koni, z których pojedyncze sztuki wychwytuje się

na laso. Prawdopodobnie początkowo koń został przystosowany do noszenia ciężarów, jako zwierzę juczne, później gdy tylko wynaleziono kolo — do ciągnięcia pojazdów, wreszcie — do chodzenia pod wierzchem.

Ten ostatni sposób użytkowania konia przypisuje się Tesalczykom. Mieli tego dokonać w 20 wieku przed naszą erą. Koń, ten „połykacz wiatru“, okazał się wspaniałym narzędziem w sztuce wojennej i niewątpliwie z chwilą pierwszego pojawienia się na polu walki wywołał nie mniejszy popłoch jak pierwsze czołgi, użyte w I wojnie światowej na polach Francji.

Jak głoszą kroniki, pozostawione nam przez Diodorosa z Sycylii, jeszcze przed pierwszą wojną trojańską istniała wielka armia konna, licząca 20 000 żołnierzy, a w roku 1267 przed naszą erą, asyryjski król Nino miał rzucić w czasie drugiej wojny przeciwko Baktrom 210 000 konnych rycerzy. Można oczywiście przyjmować prawdziwość tych liczb z niedowierzaniem, ale same fakty zbić się nie dadzą i są dowodem dużej już w tych czasach opanowania jazdy konnej.

Ten sposób użytkowania konia, szybkość i wytrzymałość wierzchowca musiały wreszcie doprowadzić do wynalezienia konkurencji sportowych, organizowanych w okresach międzywojennych, aby po prostu tysiące konnych rycerzy się nie nudziło. Pierwszą formą tych zawodów były wyścigi. Historycy twierdzą, że inicjatorami gonitw konnych byli Persowie. Były to jednak wyścigi dwukołowych wozów zaprzężonych w dwa, trzy lub więcej koni. Zyskały one dużą popularność i rozprzestrzeniły się na obszar całego ówczesnego starożytnego świata.

Sport był od samego zarania zjawiskiem, dającym natchnienie twórcom. Najlepszym tego dowodem jest Iliada, w której poeta przekazuje potomnym obraz ówczesnych wyścigów kwadryg. Opisany przez Homera wyścig odbył się podczas igrzysk, zorganizowanych przez Achilleusa w czasie uroczystości pogrzebowych jego przyjaciela Patroklesa, poległego pod murami Troi.

Grecja miała poważny wkład w opracowanie naukowych podstaw jazdy konnej. W znacznej mierze sprawdzają się one po dzień dzisiejszy. Autorem pierwszego podręcznika jazdy konnej i chyba pierwszego podręcznika sportowego w ogóle był Ksenofont. Opracował on w IV wieku p.n.e. książkę, zatytułowaną „Hippika i hipparch“, czyli „Jazda konna i naczelnik jazdy“.

Persję, Grecję, a następnie Rzym ogarnął istny szal organizowania wyścigów konnych. Z czasem stworzyły one dużą konkurencję wyścigom kwadryg w Rzymie, tak niegdyś popularnych. Wiele cech charakterystycznych dla ówczesnych jeźdźców, uczestników starożytnych gonitw, przetrwało aż do dziś niemal w niezmienionej formie. Słusznie więc dawni jeźdźcy mogą być nazywani prekursorami współczesnych dżokejów. Już wtedy znane były sposoby treningowe, wdrażające konia do długodystansowych gonitw, przyjmowania przez jeźdźcę pozycji najdogodniejszej dla konia, a co się z tym wiąże — poszukiwania jeźdźców o jak najmniejszej wadze. Pisał o tym hetycki autor Kikkuli z Mitanii w 1350 r. p.n.e. w podręczniku trenowania koni do wyścigów, treść którego omówili B. Hrozny i E. Vogeler.

Poeta rzymski Properejusz pozostawił nam opis torów wyścigowych ówczesnych czasów. Już wtedy miały one kształt elipsy, a ich wewnętrzna granica oznaczona była niskim płotem. Kiedy w roku 610 p.n.e., za czasów Tarkwiniusza Starego zbudowano Circus Ro-manus, wyścigi otrzymały wspaniałą oprawę organizacyjną. Jeźdźcy musieli zgłaszać się do gonitw na 30 dni przed startem. Dla odróżnienia od siebie poszczególnych stajen nosili oni różnobarwne stroje. Linie startu i celownika oznaczano położoną na torze linią, a starter dawał znak do rozpoczęcia gonitwy przez podniesienie chorągiewki.

W V wieku p.n.e. istniały już siodła. Na kolumnie Teodozjusza Flawiusza w Rzymie z 380 roku wyobrażono siodło z łękami z przodu i tyłu. W Pazyryjskich Kurhanach w Azji znaleziono siodła z IV —III wieku p.n.e. Stały się one pierwowzorem dzisiejszego rzędu. Wynalazek ten spowodował oczywiście zmiany w sposobie jazdy wierzchem. Ewolucja była jednakże tak powolna, że dopiero

w dziesięć wieków później ugruntowały się nowe zasady dosiada i powodowania koniem.

Okres Średniowiecza i następne epoki umocniły znaczenie konia w życiu ludzi. Ten wierny przyjaciel człowieka stał się nie tylko towarzyszem pracy, walki i rozrywki, ale ponadto natchnieniem do prac malarzy, rzeźbiarzy, poetów.

Oto jeden tylko z nielicznych dowodów zainteresowania koniem przez twórców. Autorem zaś tego urywka wyjętego z poematu „Wenus i Adonis“, jest nie byle kto, gdyż sam William Shakespeare (1564—1616).

*Okrągłe kopyto, zwięzły stan,
szczotki włos długi, nie ostry.*

*Szeroka pierś, jasny oka blask,
rozwarte chrapy, nieduża głowa.*

*Wysoka szyja, krótkie uszy,
pewne stąpanie nóg prostych.*

*Potężny zad i gruby ogon,
skóra i grzywa jak atlasowa.*

*Ideal konia. Cóż mu brakuje
— gdy jeźdźca na grzbiecie poczuje?*



Polska drużyna jeździecka zajęła 3 miejsce w WKKW w 1928 roku na Igrzyskach Olimpijskich w Amsterdamie. Od lewej: Michał Antoniewicz, Karol Rómmel i Józef Trenkwald.

Tym, czym do dzisiaj jest w wielu krajach samochód, był w poprzednich wiekach koń, lub konie w zaprzęgu — po prostu oznaką pozycji i zamożności. Stało się to m.in. powodem rozwinięcia hodowli, poszukiwania najbardziej dzielnej i pięknej pokrojowo rasy. Przechwalano się rodowodami swych wierzchowców i ich sportowymi osiągnięciami. Szlachetny koń osiągał niebywale wysokie ceny i był królewskim подарunkiem. To umiłowanie konia i docenianie jego wartości obserwuje się jeszcze obecnie. Co zaś ciekawe, że im jakiś kraj stoi na wyższym poziomie mechanizacji, tym nawrót do konia i związanych z nim sportów jest zjawiskiem bardziej masowym.

Cofnijmy się jednak do czasów średniowiecznych, kiedy koń stał się nieodzownym towarzyszem człowieka we wszystkich przejawach jego bytowania. Najpowszechniejszymi użytkownikami koni byli wtedy rycerze. Utrzymywali oni drużyny konne dla obrony całości swych dóbr, nierzadko wystawionych na grabieżcze napady. Używano również tych oddziałów w wypadku wojny. Można powiedzieć, że niemal każdy mężczyzna umiał od lat dzieciennych radzić sobie z koniem. A skoro tak, to nie obce mu były wyścigi z rówieśnikami lub inne zabawy konne. W nowoczesnym pojęciu były to niezorganizowane formy konnego sportu.

Na dworach książęcych odbywały się natomiast imprezy konne w formie zorganizowanej i oprawie godnej porównania z dzisiejszymi zawodami o międzynarodowej randze. Turnieje rycerskie, gdyż o nie tu przede wszystkim chodzi, mimo że organizowano także różnego rodzaju harce i zawody w ścinaniu łóz, miały swój ustalony tradycją przebieg. Placami bojów były zwykle dziedzińce zamkowe, gdzie kruzganki wypełniały się widzami. Do turnieju zgłaszało się wielu rycerzy, którzy ścierali się indywidualnie każdy z każdym. Walka polegała na zrzuceniu przeciwnika z konia przy pomocy drewnianej kopii. Kto odniósł najwięcej zwycięstw, ten był nagradzany przez księcia, a także

dekorowany szarfą przez damę swego serca.

Nie były to igraszki bezpieczne, gdyż kopie często się łamały, a ich ostrze nie raz, mimo zbroi, raniło rycerzy — nawet śmiertelnie. Jednym z bardziej znanych wypadków, opisanych przez Aleksandra Dumasa (starszego) była śmierć, jaką poniósł w czasie rycerskiego turnieju w roku 1559 król Francji Henryk II. Walczył on z dowódcą gwardii szkockiej Montgommerym. W pewnym momencie złamana kopia weszła mu przez otwór w przyłbicy poprzez oko do czaszki.

Rycerskie turnieje rozpowszechnione były szczególnie na zachodzie Europy, ale również nasi kronikarze zanotowali, że i w Polsce rycerstwo zabawiało się podobnie w czasie zjazdów na książęcych lub królewskich dworach. Sława najlepszych, takich jak Zawisza Czarny i Dąbek z Oleśnicy, przetrwała do dziś.

W ostatnim okresie rozwoju feudalizmu, a więc w czasach upadku świetności książęcych dworów, życie klas rządzących zaczęło się skupiać na dworach królewskich. Najgłośniejsze zabawy i igrzyska sportowe odbywały się na dworze francuskim. Szczytem wspaniałości pod tym względem był Wersal za czasów Ludwika XIV. Oprócz konnych polowań organizowano takie konkurencje jak gonitwy do pierścieni, ścinanie w galopie głów manekinów, wyścigi itp. Żaden jednak kronikarz nie przekazał informacji, żeby konkurowano również w skokach przez przeszkody, choć przecież pokonywanie różnych stałych przeszkód, podczas harców terenowych, było powszechne. Trzeba więc przyjąć, że nie było wtedy konkurencji skoków przez przeszkody. Najlepszym tego dowodem jest kronika najstarszej kawaleryjskiej szkoły francuskiej w Saumur nad Loarą, opisująca czasy od powstania szkoły, to jest od roku 1589, aż do połowy XIX wieku. Tam również nie ma wzmianki ani o konkursach ujeżdżania konia ani skoków.

Początków konkursów w skokach przez przeszkody należy szukać w drugiej połowie XIX wieku we Francji. Podwaliny pod nowoczesne jeździectwo położyły akademie jeździeckie we Włoszech już w XVI wieku. Francuz Antoine Pluvinel — kierownik szkoły jazdy konnej w Paryżu, a potem w Wersalu napisał książkę „Le Maneige Royal“ wydaną w 1623 roku w Paryżu. Wyłożył w niej zasady zwane potem wyższą szkołą jazdy, znacznie udoskonalił szkołę maneżową, na której oparły swój system nauczania inne ośrodki jeździeckie, a przede wszystkim Szkoła Wersalska i Hiszpańska Szkoła Jazdy w Wiedniu. Ta ostatnia istnieje do dziś, jest turystyczną atrakcją stolicy Austrii i bodaj ostatnim reliktem z czasów wyższej szkoły jazdy. Do państw, które w XIX wieku przodowały w tym systemie jazdy należały Austria, Francja, Prusy, Węgry, Rosja i Szwecja.

Polska, słynąca w okresie przedrozbiorowym ze swej wspaniałej kawalerii żyła również sportami konnymi uprawianymi w tamtych czasach. Wielkim ich protektorem był król August II Mocny, który lubił się wzorować na Wersalu i organizował, podobne francuskim, turnieje i zabawy konne. W Polsce uprawiano również na szeroką skalę konne polowania z chartami, gończymi i ogarami na zające, lisy, samy, dropie, łosie, a dawniej i żubry. Dużo też polowano konno z sokołami i jastrzębiami. W literaturze polskiej uwiecznili to: A. Miciński, K. Dorohostayski, K. Pieniążek, J. Ostroróg, J. Dzieduszycki.

Okres, kiedy w Europie zapanowała szkoła maneżowa, objął również czasy zaborów Polski. Ale właśnie Prusy, Austria i Rosja hołdowały temu systemowi szkolenia koni. Siłą więc rzeczy wielu Polaków, którzy służyli w armiach zaborców przyjęło zasady tego systemu, którego konsekwencją było wdrożenie konia do bezwzględnej posłuszeństwa i wykonywania narzuconych mu zadań, w tym i skoków. Te ostatnie okazały się dla charakteru Polaków najbardziej atrakcyjne. Natomiast ujeżdżanie konia, jako sztuka dla sztuki, nigdy naprawdę nie zakorzeniło się w Polsce.

Wśród oficerów armii rosyjskiej, później już w niepodległej Polsce reprezentujących nasze barwy, było dwóch Polaków, którzy jeszcze przed wybuchem I wojny światowej dostąpili zaszczytu olimpijskiego startu. Byli nimi porucznicy Karol Römmel i Sergiusz Zahorski.

Był rok 1912. Zbliżały się Igrzyska V Olimpiady w Sztokholmie, w których programie znalazły się po raz pierwszy konkurencje jeździeckie: ujeżdżanie konia i skoki przez przeszkody. Wieść o tym, że w Sztokholmie mają startować również jeźdźcy, zelektryzowała na kilka miesięcy przed Igrzyskami wszystkich kawalerzystów świata, ponieważ w owych czasach ekipy hipiczne składały się wyłącznie z wojskowych. Gorączkowe przygotowania trwały również w armii rosyjskiej.

Służący w gwardyjskim pułku piechoty Karol Rómmel, syn artylerzysty Alfonsa, jako dziecko nauczył się jeździć konno na poligonie w Oranach, gdzie jego ojciec był komendantem. Karol na wieść o Igrzyskach nie mógł przeboleć, że nie jest w kawalerii i nie został objęty przygotowaniem. Postanowił jednak szkolić się na własną rękę. Za 50 rubli kupił konia od zdemobilizowanego Kozaka, powracającego do domu na Ukrainę i zaczął usilnie trenować.

Mały kasztan zwał się „Ziablik“ czyli po polsku „zięba“, był bardzo uzdolniony skokowo i nieźle ujeżdżony. Por. Rómmel przyprowadzał go późnymi wieczorami do krytej ujeżdżalni w Petersburgu i jedynie w obecności luzaka uczył skakać przeróżne kombinacje przeszkód.

Kilkudziesięciu oficerów kawalerii i artylerii konnej oraz jedyny „zając“ — Rómmel, walczyło w ciągu trzeciej eliminacji o prawo startu na Igrzyskach w sześciuosobowej ekipie jeździeckiej. Można sobie wyobrazić wściekłość oficerów broni konnych, gdy jedno z tych miejsc zajął im piechur.

W ekipie, poza dwoma wspomnianymi Polakami byli Rosjanie Rodzianko, Zelikow, Pieczków oraz Wielki Książę Dymitr Pawłowicz. Udział w ekipie członka rodziny panującej spowodował, że wszyscy jeźdźcy tej ekipy zostali zakwaterowani w pałacu królewskim w Sztokholmie i traktowani byli jako „osoby wysoko urodzone“. Ten sam zaszczyt spotkał również ekipę olimpijską Prus, w której znajdował się książę Fryderyk Karol. Pozostałe dziesięć ekip mieszkało w miejskich hotelach.

W owych czasach poważne konkursy rozgrywano na przeszkodach o wysokości do 140 cm i szerokości rowu z wodą do 4 metrów. Inaczej też niż dziś liczono punkty karne, gdyż zrzucenie przeszkody przez konia przednimi nogami kosztowało 4 pkt. karne, tylnymi — 2 pkt., a trącenie przeszkody nogą (bez zrzucenia) — 1 pkt. Zmuszało to organizatorów do stawiania przy każdej przeszkodzie sędziego, który po przebyciu przeszkody przez jeźdźca podnosił wielką tablicę z cyframi: 0, 1, 2 lub 4, w zależności od przewinienia.

Olimpijski parcours w Sztokholmie składał się z 19 przeszkód. „Ziablik“ przeniósł por. Rómmella bezbłędnie przez 9 przeszkód, dziesiątą stuknął kopytem, trzynastą ściągnął tylnymi nogami, kolejny mur znów stuknął, czyli miał już 4 pkt. karne. Po bezbłędnym przejściu następnych przeszkód jeździec polski znalazł się przed ostatnią. Był nią czterometrowy rów z wodą. Wbrew zasadom, że na rów jedzie się „szeroko“, czyli wyciągniętym galopem, Rómmłowi wpadło coś do głowy aby jechać ostrożnie i zamiast przyspieszyć powstrzymał on nieco konia. Ten błąd trwał ułamek sekundy, a jego efekt gnębił jeźdźcę do końca życia. Rómmel utopił złoty medal w rowie. Gdyby przebył ten rów bezbłędnie byłby chyba pierwszy, gdyż złoty medalista, Francuz Cariou miał również cztery punkty, ale konia wolniejszego niż „Ziablik“, a przecież w wypadku równej ilości punktów decydował lepszy czas.

Karol Rómmel jest legendarną postacią polskiego jeździectwa. W odrodzonej Polsce przez wiele lat reprezentował barwy narodowe w konkursach skoków, WKKW, a ponadto był wspaniałym instruktorem, mającym szczególną umiejętność doszlifowywania formy przygotowanych już do wysokiego wyczynu koni i jeźdźców. Był w jeździectwie tym, czym Feliks Stamm w boksie. Zdziwiła ponadto jego wszechstronność. Ścigał się bowiem również na wyścigach w dżentelmeńskich gonitwach, a formę, i to wysoką, zachował do późnych lat swego życia. Miał blisko 70 lat, gdy startował jeszcze w Pardubicach w najcięższej gonitwie przeszkodowej naszego kontynentu, a kiedy wygrał jeszcze konkurs skoków na zimowych zawodach w Zakopanem, miał już dobrze ponad siedemdziesiątkę.

Był ponadto wspaniałym rysownikiem i gawędziarzem, ilustrującym wykłady instruktorskie pięknymi

rysunkami na tablicy, a wszelkie opowiadania — anegdotkami z życia jeździeckiego, których był skarbnicą.

W latach międzywojennych, startując kiedyś na poznańskim torze na Ławicy w wyścigu przeszkodowym Rómmel zwał się z koniem na ziemię za jedną z potężnych herd. Koń zerwał się i pogalopował, a jeździec leżał bez ruchu. Widok ten zaparł dech obserwatorom. Cóż mogło się przydarzyć tak doświadczonemu jeźdźcowi! Natychmiast podjechała karetka pogotowia i zabrała ppłk. Rómmela do kancelarii toru wyścigowego, gdzie jego przyjaciel lekarz chciał udzielić pierwszej pomocy. W tym momencie pułkownik zerwał się na równe nogi.

— Karol! Dlaczego z nas wszystkich robisz wariatów — wykrzyknął lekarz.

— A co, miałem świecić przed trybunami gołym tyłkiem — powiedział śmiejąc się Rómmel i pokazując pęknięte na całej szerokości spodnie, pod którymi jeźdźcy nic nie noszą. — Wołałem abyście wywieźli mnie karetką!

Oprócz K. Rómmela i S. Zahorskiego z rosyjskiej armii przybyli do Polski inni jeźdźcy i instruktorzy jak Dymitr Exe i Leon Kon, a z armii austriackiej Franciszek Adamowicz, Hubert Brabec, H. Gzowski, Jan Kossak i inni.

Można więc śmiało powiedzieć, że jeździectwo polskie po długoletnim okresie zaborów, miało od razu dobrych instruktorów, co się zresztą potwierdziło w międzynarodowych kontaktach i w olimpijskich szrankach.

Oczywiście również i w naszym kraju, mimo życia pod zaborami Polacy jeździli konno, a nawet zaczęli organizować zawody. Konkursy w skokach przez przeszkody oglądali już Polacy, a ściślej mówiąc warszawiacy, w 1880 roku, w czasie wystawy rolniczej w Ujazdowie. Wyróżnił się wtedy Stanisław Niemojewski z Włoszczowy na złocistym kasztanku „Barabaszu“, okulbaczonym jeszcze na wzór wschodni. W 17 lat później w czasie wystawy zorganizowanej przez Towarzystwo Wyścigów Konnych najlepiej wypadły w skokach konie z importu — „Barbato“ i „Akrobat“.

21 maja 1901 roku nastąpiło uroczyste otwarcie toru hipicznego w Łazienkach, co stało się za przyczyną Koła Sportowego, które w swych obowiązkach statutowych zakładało „potrzebę rozwoju zdrowia i energii w szeregach sportsmenów i młodzieży“. Dlaczego wybrano Łazienki? Nie tylko ze względu na reprezentacyjne walory tego miejsca, ale i na ukształtowanie terenu, dającego możliwość organizowania, oprócz skoków, także biegów myśliwskich, najbardziej odpowiadających charakterowi Polaków. Był więc wtedy w królewskim parku tor długości 2200 metrów, prowadzący przez skarpy i rowy, najeżony 24 przeszkodami stałymi. Konkursy hipiczne odbywały się tam corocznie w latach 1901—1914, z wyjątkiem okresu rewolucji 1905—1906.

Kiedy więc Polska uzyskała w 1918 roku niepodległość, zachowane tradycje stwarzały podatne fundamenty pod rozwój tej dziedziny sportu. Oczywiście, podobnie jak i w innych krajach, większość jeźdźców rekrutowała się spośród oficerów. Nie mieli oni początkowo do dyspozycji wartościowych koni. Były więc konie nieznanego pochodzenia z demobilu, były też i konie szlachetne, ale zmanierowane na wyścigowym torze, zbyt nerwowe, aby w konkurencjach hipicznych mogły uzyskać cenne zwycięstwo. Mimo to sukcesy jednak przysły.

Młody oficer Pierwszego Pułku Szwoleżerów — Adam Królikiewicz, któremu wojna przerwała studia na politechnice, poświęcił się całkowicie sportowi konnemu. Spośród wielu koni pułkowych wybrał sobie gniadego garbonosa, który w dostawach wojennych przybył z Ameryki i swoją wojenną służbę spędził, ciągnąc taborowy wóz. Różne są wersje, dlaczego wybór Królikiewicza padł właśnie na tego konia. Jedna z nich głosi, że koń ten wyrwał się kiedyś z ręki szwoleżera i przez nikogo nie zmuszany, skoczył bez trudu przez ogrodzenie. W podobny zresztą sposób przyszedł do sportu koń z zaprzęgu

artyleryjkiego „Faworyt-Gawot“ majora artylerii Michała Toczka.

Po zakończeniu działań wojennych wielu oficerów poświęciło się całkowicie sportowi konnemu. W powołanej do życia w Grudziądzu w roku 1922 grupie sportu konnego, zaczęła się wykuwać sława polskiego jeździectwa, początkowo wzorującego się na przeszczepionej z armii zaborczych, ale wkrótce przedstawiającego się na włoski system jazdy, którego podstawą było pozostawienie koniowi możliwie pełnej swobody, zgodnie z jego naturalnymi cechami ruchowymi. Ścieranie się tych dwu sposobów jazdy trwało jeszcze dość długo, ale zwyciężył bardziej odpowiadający charakterowi Polaka system Caprillego (włoski), dający większe efekty w skokach — podstawowej konkurencji, uprawianej przez naszych jeźdźców. Całkowite jednak odejście od szkoły maneżowej mściło się potem przez dziesiątki lat przy ocenianiu polskich jeźdźców w próbie na czworoboku wszechstronnego konkursu konia wierzchowego.

Pierwszy start olimpijski nastąpił dopiero w roku 1924 w Paryżu. Postanowiono, że skoczkowie poznają swe siły najpierw w konkurencji międzynarodowej na zawodach w Lucernie. Załadowano konie do pociągu i wysłano przez Czechosłowację. Można sobie wyobrazić zdziwienie konwojentów, gdy na granicy w Zebrzydowicach zażądano od nich zezwolenia Głównego Urzędu Celnego na wywóz koni. Załatwienie formalności trwałoby długo i kto wie, czy nie przekreśliłoby w ogóle wyjazdu, gdyby nie przypadek. Okazało się, że naczelnikiem urzędu celnego był niejaki pan Minczewski, którego wuj był dowódcą Pułku Ułanów Krechowieckich. Kiedy naczelnik zobaczył w transporcie konia „Krecliowiaka“, pożyczonego przez jego wujka ppłk. Rómmłowi na Igrzyska, puścił cały transport na własną odpowiedzialność.

W Lucernie Polacy odnieśli wiele sukcesów, a prasa szwajcarska rozpisywała się o „polskim tempie“ pokonywania przeszkód. Chyba to tempo pozostało we krwi Polaków do dnia dzisiejszego, gdyż większość z (nich, nie bacząc na konieczność regulowania szybkości rwie na przeszkody jak do pożaru. Jednakże wtedy w Lucernie, przy tamtejszym systemie ustawiania przeszkód tempo okazało się potrzebne. Gorzej było w Paryżu.

Porucznik Królikiewicz startował na wspomnianym już garbonosie o legendarnej w polskiej hipicy nazwie „Picador“. Para ta w czasie olimpijskiego startu zarobiła 10 punktów karnych i zajęła 3 miejsce. Zgodnie jednak z regulaminem Polakowi należał się medal srebrny, ponieważ sklasyfikowany przed nim Włoch Lequio, podczas zeskoku z bankietu omal nie spadł z konia, utrzymując się tylko dzięki pomocy stojącego obok fotoreportera. Była to niedozwolona przepisami „pomoc z boku“, za którą powinna spotkać Włocha dyskwalifikacja.

Co najmniej w dziwacznych warunkach przebiegał konkurs WKKW. Próba terenowa odbywała się częściowo w Auteuil, częściowo w Lasku Bulońskim, a tzw. odcinki „po drogach i ścieżkach“ wytyczono ulicami stolicy Francji. Kiedy pokazywał się koń, policjanci wstrzymywali na chwilę ruch pojazdów. Nie były to warunki sprzyjające uspokojeniu koni po dopiero co przebytym steeple“u.

Słabiutko wypadły nasze konie w próbie na czworoboku. Jedynie „Krechowiak“ był — jak twierdziła prasa — „irreprocliable“ (bezzarzut), pozostałe zaś konie, a szczególnie historyczna klacz Kazimierza Suskiego „Lady“ pokazywała jak nie należy wykonywać programu. W dodatku francuski kowal tak źle podkuł konie, że pogubiły podkowy i mowy nie było, aby w tych warunkach straty punktowe z ujeżdżania nadrobić galopem w czasie próby wytrzymałości. Kazimierz Szosland zdenerwował się, zsiadł z konia w czasie konkurencji, kazał sobie podkuć konia i po 20 minutach przerwy ruszył do galopu, odrabiając stracone 15 minut. Z 46 koni, które wystartowały, ukończyły konkurencję 32. Polacy zajęli na 30 zespołów 7 miejsce. Najlepszy był Rómmel (10) przed Szoslandem (23), Suskim (25) i późniejszym dowódcą Powstania Warszawskiego — Tadeuszem Komorowskim (32).

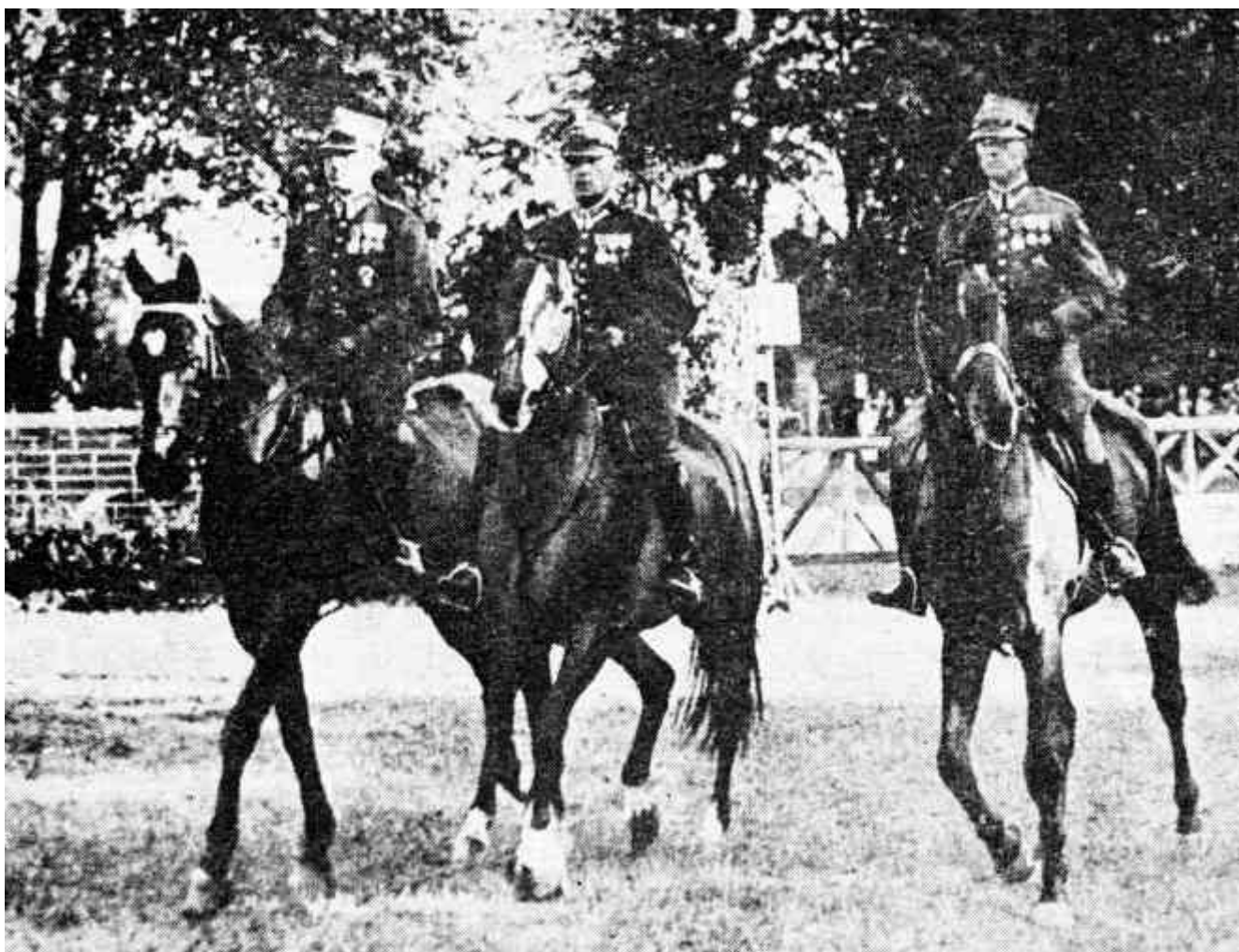
Kiedy jeźdźcy wybrali się na Igrzyska 1928 roku byli bogatsi w doświadczenia. Wzięto je pod uwagę, toteż Polska zdobyła jeden srebrny i jeden medal brązowy, plasując się w jeździectwie na czele

wszystkich 21 ekip. Również udział jeźdźców w całkowitym dorobku punktowym reprezentacji polskiej był duży, gdyż na 12 punktów zdobytych w czasie wszystkich konkurencji (liczyły się tylko medale), jeźdźcy dostarczyli aż 3.

Niestety z bezstronnością często nie było na igrzyskach dobrze. Organizator Igrzysk — Holandia, robiła wszystko, aby wygrać Puchar Narodów. Tymczasem ostatni z jeźdźców tego kraju porucznik Parliut de Mortanges, zmylił trasę parcoursu, za co powinien być wytrąbiony. Wdzięczna za serdeczne przyjęcie komisja sędziowska

„nie zauważyła“ tej pomyłki i Holendrzy zdobyli złoty medal, a Polska srebrny. Protest złożony przez Polskę i Szwajcarię został odrzucony. Był to już drugi wypadek jawnego łamania przepisów, a niestety nie ostatni.

Konkurs odbył się w obecności 40 000 widzów, a jego rozpoczęcie nastąpiło z 20-minutowym opóźnieniem. Czekano na przybycie królowej Wilhelminy. Parcours ustawiono na boisku piłkarskim w sposób na tyle łatwy, aby gospodarze mogli zdobyć jakiś medal. Zdobyli złoty, ale nie w walce fair.



Zdobywcy srebrnego medalu w WKKW w Berlinie (1936 r.). Od lewej: Seweryn Kulesza, Henryk Leliwa-Roycewicz i Zdzisław Kawecki.

Siedmiu jeźdźców miało przebieg bezbłędny, w tym Polak Kazimierz Gzowski na „Mylordzie“. Puchar Narodów rozgrywano wtedy w jednym nawrocie, więc do rozgrywki stanęli tylko jeźdźcy z bezbłędnym przebiegiem dla ustalenia indywidualnej kolejności. Niestety „Mylord“ zrzucił jedną przeszkodę przednimi nogami, za co otrzymał 4 pkt. karne i Gzowski sklasyfikowany został na 4 pozycji. Konkurs

wygrał słynny jeździec czechosłowacki Ventura. Do sukcesu zespołowego Polaków przyczynili się oprócz Gzowskiego: Kazimierz Szosland na „Aili“ (2 pkt.) i Michał Antoniewicz na „Readgledt“ (6 pkt.).

Prawdziwe *qui pro quo* przeżywalismy znów na czworoboku w WKKW. Ściągnięta na trzy tygodnie przed Igrzyskami z toru wyścigowego „Moja Miła“ Antoniewicza, nie wiedziała co robić. Jedyny koń o wspaniałym eksterierze „Doneuse“ Rómmla, wpadł w szal kiedy wchodził na czworobok, myśląc, że czeka go start do wyścigowej gonitwy. Kiedy po połowie programu zorientował się, że nic mu nie grozi, pokazał, że umie jednak wykonać poprawnie zadanie. „Lwi Pazur“ Józefa Trenkwalda szedł spokojnie, nie mógł jednak dostać wysokiej noty od oceniających konie sędziów niemieckich i austriackich w myśl panującej w ich państwach szkoły maneżowej.

Lata dwudzieste to kres' wielkich sukcesów Polaków na wszystkich torach Europy i w Nowym Jorku, gdzie Polacy dwukrotnie wygrali Puchar Narodów.

Lista słynnych polskich jeźdźców i koni jest tak duża, a sukcesów jeszcze większa, że spisanie tego wszystkiego wymagałoby specjalnego tomu. Rzym, Nicea, Lucerna, Spa, Berlin, Paryż, Tallinn, Bukareszt, Ryga, Mediolan i wiele innych miast podziwiała wspaniałą jazdę Polaków. Niektóre zaś konie wywoływały postrach wśród konkurentów.

W owych czasach prowadzono klasyfikację punktową dla koni, które wygrywały w konkursach międzynarodowych. Jeśli koń przekroczył pewien limit punktów, musiał dawać swym przeciwnikom handicap, polegający na podnoszeniu dla niego przeszkód o 10 lub więcej centymetrów. Bywały konkursy, że konie początkujące startowały na przykład na 120 cm, nieco zaawansowane, w tym samym konkursie, na 130 cm, konie wykazujące się pewną liczbą sukcesów na 140 cm, a konie w pełni „zagrane“ na 150 cm.

Wielką sławę na zagranicznych torach zdobył „Picador“. Mimo że konkurujące z nim konie skakały o 10—20—30 cm niższe przeszkody, on i tak zwyciężał. Zdarzały się więc wypadki, że zgłoszenie do startu „Picadora“ powodowało masowe wycofywanie koni z konkursu.

Uczestnicząc w konkursach za granicą, nie sposób było nie dawać konkurentom rewanżu u siebie w kraju. Zorganizowano więc w roku 1927, po raz pierwszy w Łazienkach, międzynarodowe zawody oficjalne (CHIO), na które przyjechały tylko dwie zagraniczne ekipy: Francja i Węgry. Z czasem jednak warszawskie konkursy nabrały renomy, a piękny hipodrom, który do dziś jeszcze wspominają dawni jeźdźcy zagraniczni, ścigał liczne ekipy. Gościliśmy więc oprócz wymienionych: Niemców, Rumunów, Włochów, Turków, Szwedów, Finów, Amerykanów, Czechosłowaków, Łotyszów i Belgów.

Najważniejszym dniem każdej takiej imprezy był ten, w czasie którego rozgrywano „Nagrodę Polski“ czyli „Puchar Narodów“. Oficerowie w galowych mundurach, cywile w wizytowych strojach — słowem przegląd mody na trybunach. Pokazanie się w tym dniu w Łazienkach należało do dobrego tonu, ale wcale nie znaczyło, że przybyły na konkursy widz zna się na tC'j konkurencji, ba, że nawet ją bodaj rozumie. Po prostu chce, aby go widziano. Poza tym miał on okazję zobaczyć w tym dniu Prezydenta Rzeczypospolitej, który fundował i wręczał nagrodę zwycięskiej ekipie.

Konkursy łazienkowskie odbywały się co roku aż do wojny. Widowym znakiem napiętych już stosunków między Niemcami a Polską była nieobecność tej tradycyjnej na tych zawodach ekipy w czerwcu 1939, to jest miesiącu łazienkowskich CHIO. Tylko dwa razy zrobiono odstępstwo od czerwcowego terminu. W 1928 i 1935 roku CHIO przeniesiono na wrzesień.

Olimpijskie sukcesy 1928 roku zapaliły do treningowej pracy dziesiątki oficerów kawalerii i artylerii, nie tylko tych, którzy opanowali doskonale sztukę jeźdźstwa na specjalnych konkursach w Grudziądzu lub Toruniu, ale również tych, którzy godzinami, po normalnych zajęciach pułkowych tłukli się na

siodle, marząc o sukcesach na hipodromach świata. Igrzyska Olimpijskie 1932 roku odbywały się w Los Angeles, a więc jedynie w wypadku wspaniałej formy koni była szansa na wyjazd. Teren amerykański nie był obcy Polakom, którzy pod koniec lat dwudziestych zdobyli sobie sławę na nowojorskim hipodromie. Wyjazd naszej ekipy nie doszedł jednak do skutku z powodu wielkiego kryzysu ekonomicznego jaki panował w tym czasie.

Trudno jest dziś powiedzieć, jak zakończyłby się start jeźdźców w Los Angeles, jednak jedno jest pewne, że nieobecność w poważnych konkursach obniża poziom każdej dyscypliny sportu. Sukces jeźdźców WKICW w roku 1936, przy równoczesnej klęsce skoczków daje dużo do myślenia. Jedni dopatrują się obniżenia formy właśnie wskutek absencji na olimpijskim hipodromie i w zmniejszających się kontaktach zagranicznych, inni w tym, że polskie jeździectwo całkowicie niemal oparto o konie wybrane z pułków kawalerii i artylerii. Coraz większe wymagania stawiane na międzynarodowych paroursach były dla tych koni zbyt trudne.

Przedolimpijski rok 1935 okazał się dla polskiego jeździectwa kryzysowy. Nie nadawały się już do wyczynu konie stare, a nowych, utalentowanych było brak. W tej sytuacji więcej czasu poświęcano na poszukiwanie koni w pułkach, niż na solidną pracę pod kierunkiem instruktorów na zgrupowaniu. W ostatniej niemal chwili czyniono eksperymenty z przesadzaniem jeźdźców z konia na konia. Z wyjątkiem „Savannah“ wszystkie inne konie były pochodzenia krajowego. Wspaniała klacz „Carmen“ przygotowywana do Igrzysk zahła się na treningu pod rtm. Tadeuszem Sokołowskim, który przy tym upadku złamał obojczyk. Nie pojechali więc skoczkowie do Berlina w najlepszych nastrojach. Większe nadzieje wiązano z udziałem ekipy WKKW, choć okulał najlepszy koń „Ben-Hur“.

Próba ujeżdżania na czworoboku do WKKW odbywała się w ulewnym deszczu. Sędziowie pracowali pod parasolami i zgodnie z tradycją wszystkich dotychczasowych igrzysk preferowali konie ujeżdżane na sposób maneżowy. W tej sytuacji jeźdźcy polscy nie mieli dobrej pozycji wyjściowej do trzydniowej konkurencji.

53 konie z 19 państw wystartowały następnego dnia do próby wytrzymałości. Oglądając na dzień przed startem trasę crossu, wszyscy jeźdźcy zatrzymywali się dłużej przy przeszkodzie, którą nazwano „żabim dołkiem“. Wiedziano, że będzie ona powodem wielu kłopotów. Był to rów z brudną wodą, pokrytą rzęsą, do którego skakało się przez znajdujący się na froncie płot. Organizatorzy zapewniali, że rów ma głębokość zaledwie 80 cm i twarde dno. Wielu zawodników badało tę głębokość kijami i kiwało głowami z niedowierzaniem. Podejrzenia okazały się słuszne. Głębokość była większa, zresztą nierówna na całej przestrzeni, a do tego pochylona w kierunku skoku i grząska. Kto się spieszył i skakał na dużej szybkości, ten musiał wraz z koniem wylądować w bagnie. Nie spieszyli się jednak zawodnicy niemieccy, skakali z kłusa i wszyscy w tym samym miejscu — z boku.

Nasi jeźdźcy, podobnie zresztą jak i inni, łapali punkty karne na tej przeszkodzie, ale dosiadali natychmiast koni i gnali do przodu. Najlepiej szło rtm. Henrykowi Roycewiczowi na „Arlekinie III“, co bardzo widać niepokoiło organizatorów, gdyż w momencie, gdy „Arlekin“ zbliżał się do przeszkody nr 20 zagroził mu drogę żołnierz niemiecki, aby uniemożliwić skok i zakomunikować, że jedna z przeszkód została przez Polaka „pominięta“. Dziwna była ta „dbałość“ o ekipę polską, ho przecież gdyby tak było rzeczywiście, to nasza ekipa, najgroźniejszy konkurent gospodarzy, zostałaby zdyskwalifikowana. Roycewicz wrócił na wskazane miejsce i wtedy „wyjaśniło się“, że zaszła drobna pomyłka. Nadrobił biedny „Arlekin“ 2,5 km galopu, co oczywiście kosztowało i czas i siły konia. Na złożony przez szefa polskiej ekipy protest, odjęto Polakowi na oko nieco minut od faktycznego czasu przebiegu, ale dodatkowo skrzywdzono jeszcze w inny sposób, gdyż na „żabim dołku“ policzono mu upadek bez konia, choć zaprezentowana fotografia wskazywała, że upadł on wraz z „Arlekinem“. A upadek z koniem był punktowo niżej karany. W takiej to „sportowej“ atmosferze przebiegały Igrzyska Olimpijskie 1936 roku.

Ten cross był tak ciężki, że niemal wszyscy jeźdźcy meldowali się na celowniku z punktami karnymi.

Rekordzistą był Czechosłowak, który dosłownie się dowlókl z 9000 punktów karnych. Z naszych jeźdźców Henryk Roycewicz miał tylko jeden upadek, Seweryn Kulesza na „Tosce“ trzy, a Zdzisław Kawecki na „Bambino“ zjawił się na celowniku tak sponiewierany i zamroczony, że nie wiedział, iż to koniec jego męki i chciał galopować dalej.

Sensacją ostatniej próby w skokach stał się jeździec niemiecki Wangenleim, który po złamaniu ręki na crossie, stawiał się na parcoursie, prowadząc konia jedną ręką, z drugą przymocowaną do tułowia. Mimo upadku z koniem, znów dosiadł wierzchowca (przy „pomocy z boku“, co nie było zgodne z regulaminem) i dobiegł do końca, ratując złoty medal dla swej ekipy. Polacy uplasowali się na II miejscu. Kto wie, jakie byłyby losy berlińskiego WKKW, gdyby nie wspomniane „niedopatrzienia“ organizatorów. Indywidualnie najlepszy z Polaków był Henryk Roycewicz — 15 miejsce. Z 17 ekip, konkurencję ukończyło tylko sześć.

Puchar Narodów rozgrywany zawsze jako ostatnia konkurencja igrzysk odbywał się z wielką pompą. I tu Niemcy zrobili wszystko, aby ich ekipa zdobyła per fas et nefas złoty medal. Ustawiono więc 20 przeszkód tak ciasno i kręto, aby z góry utracić konie o mniejszej potędze skoku, nie potrafiące dać sobie radę z wysokimi przeszkodami z krótkich najazdów i stosunkowo wolnego tempa. Oczywiście wykluczało to szanse naszych koni, tym bardziej, że „Warszawianka“ Gutowskiego nie lubiła skakać do wody, a tam przeszkody z wodą były szczególnie wyeksponowane.

Z polskich jeźdźców dobiegł do celownika jedynie Janusz Komorowski, plasując się na „Dunkanie“ na 36 miejscu na 54 konie. „Warszawianka“, jak było do przewidzenia, skoczyła pięknie 11 przeszkód, aby na dwunastej — z wodą, skończyć swą karierę. „Zbieg II“ pod Sokołowskim po kilku zrzutkach i trzech wyłamaniach został wyłączony. Tylko sześć ekip z 18 startujących ukończyło konkurs pucharowy.

Działania wojenne 1939 roku wezwały naszych jeźdźców na pola bitew. Wielu z nich oddało życie we wrześniu, inni na obcej ziemi lub w partyzantce. Ci, którzy przeżyli, rozsiani zostali po całym świecie. Do legendy przeszedł uczestnik Igrzysk Olimpijskich 1928 roku (był w Amsterdamie rezerwowym) major Henryk Dobrzański-Hubał, dowódca ostatniego oddziału Wojska Polskiego, który uległ przemocy dopiero wiosną 1940 roku.

A konie? Zdecydowana większość znajdowała się tuż przed wybuchem wojny w Grudziądzu. Ewakuowane w kierunku wschodnim dotarły do okolic Góry Kalwarii, gdzie na popasie spaliły się w stodołę, w czasie nalotu niemieckich bombowców. Były tam konie olimpijskie, które razem z innymi wzięły rewanż za Berlin nad ekipą niemiecką, podczas jej ostatniego pobytu na hipodromie w Łazienkach w roku 1938, wygrywając Puchar Narodów.

Srebrni medaliści z Berlina walczyli na różnych frontach. Major Leliwa-Roycewicz brał udział w Powstaniu Warszawskim i jako dowódca batalionu „Kiliński“ wstąpił się zdobyciem zacięcie bronionego przez Niemców gmachu „PAST-y“. Seweryn Kulesza i Michał Gutowski walczyli na zachodzie i tam pozostali. Zdzisław Kawecki i Tadeusz Sokołowski zginęli. J. Komorowski okres wojny spędził w oflagu, a potem osiedlił się w Argentynie, skąd w roku 1972 powrócił na stałe do kraju.

Sylwetki naszych czołowych jeźdźców dobrze były znane Niemcom. Pod koniec wojny zdarzył się z tego powodu wypadek, który smutnie się skończył dla jeźdźcy niemieckiego. Oto wzięci przez oddziały gen. Maczka do niewoli oficerowie niemieccy odpoczywali w rowie, kiedy zatrzymał się przy nich czołg dowódcy. Otworzyła się kłapa i ukazała się w niej głowa płk. Michała Gutowskiego. Widząc to, jeden z niemieckich majorów w mundurze oficera Wehrmachtu chciał nawiązać z Polakiem towarzyską rozmówkę i powiedział:

— Pan jest rotmistrzem Gutowskim?

— Pułkownikiem — sprostował zapytany. A skąd mnie pan zna?

- Startowałem na zawodach konnych w Polsce w roku 1939.
- To niemożliwe — odparł płk Gutowski. W Łazienkach w czerwcu 1939 roku nie było ekipy niemieckiej.
- Tak, ale ja brałem udział na zawodach zimowych w Zakopanem, w styczniu 1939 roku.
- Ach tak — skwitował z grymasem wiadomość pułkownik. W takim razie jest pan oficerem SS, bo tam była ekipa SS. Ukrywa się więc pan pod nie swoim mundurem.

W wyniku tej rozmowy sprawdzono tatuaż i po znalezieniu go, odłączono uczestnika zakopiańskich zawodów dla przekazania do obozu esesmanów.

Ucichły działania wojenne nad wymęczoną okupacją Polską. Do kraju zaczęli powracać żołnierze z wszystkich stron świata po wypełnieniu swego obowiązku wobec Ojczyzny. Życie budziło się w miastach i we wsiach, odradzać się począł również sport. Już w roku 1945 powstała większość klubów. Inaczej jedynie miały się sprawy z jeździectwem. Przestała istnieć jego baza, jaką były wojskowe oddziały konne. W ciągu lat pięciu postęp techniczny wyparł konia z pola walki, zastępując go czołgami i pancernymi wozami. Koń, który w starożytności w pewnym momencie stał się znamieniem postępu, okazał się w XX wieku symbolem zacofania.

Któż miał się zająć odbudową naszego jeździectwa? Kto z olimpijczyków przetrwał wojnę w kraju? Rómmel, Królikiewicz, Rostwo-Suski, Roycewicz. Ot i wszyscy. Znaleźli się również twórcy sukcesów naszych jeźdźców z okresu przedwojennego mjr Leon Kon, wieloletni instruktor Grudziądzkiej Szkoły Jazdy, sekretarz Polskiego Związku Jeździeckiego, sędzia międzynarodowy i przedstawiciel Polski w Międzynarodowej Federacji Jeździeckiej (FEI), do której Polska należy od roku 1924. FEI powstała w 1922 roku i chociaż PZJ powołano do życia dopiero w 1928 roku — trzy lata wcześniej przyjęto do FEI polski klub wojskowy, zastąpiony następnie przez PZJ.



Złoty medalista w konkursie skoków przez przeszkody — Włoch Graziano Mancinelli (Monachium, 1972 r.).

Właśnie major Kon i jeden z wybijających się jeźdźców okresu przedwojennego — Władysław Tomaszewski, utworzyli w ostatniej w Polsce brygadzie kawalerii grupę sportu konnego, nawiązującą do dawnych tradycji. Jednakże nie trwało to długo, bo grupa została zlikwidowana wraz z rozwiązaniem tej brygady w roku 1946.

Czy wtedy w ogóle przestano jeździć w Polsce konno? Nie. Wielu byłych oficerów i podoficerów broni konnych zaczęło ciągnąć tam, gdzie ostał się jeszcze koń, który mógł chodzić pod wierzchem — do stadnin koni i stad ogierów. Ponieważ w nowej strukturze sportu w naszym kraju wieś znalazła się pod skrzydłami Ludowych Zespołów Sportowych, zrzeszenie to objęło patronat nad działającymi tu i ówdzie sekcjami jeździeckimi.

Sport jeździecki poniósł w czasie wojny olbrzymie straty, odbudowa jego w nowych warunkach musiała trwać długo, tak że dopiero w 10 lat po zakończeniu działań wojennych polskie jeździectwo nawiązało kontakty zagraniczne. Taka długa przerwa musiała się odbić ujemnie na wyczynie. Z wolna, przy pomocy wspomnianych wyżej byłych olimpijczyków, a także i innych przedwojennych czołowych

jeźdźców jak Jan Mossakowski, Wiktor Olędzki i inni coraz lepsze wyniki zaczęli osiągać nowi adepci tej dyscypliny.

Pierwszy start olimpijski po II wojnie światowej nastąpił jednak dopiero w Rzymie w 1960 roku, a więc po 24 (latach przerwy! Bagatela. Można sobie wyobrazić jak wielkie postępy poczynili nasi konkurenci przez to ćwierćwiecze naszej absencji w olimpijskich szrankach. Leon Kon przygotował wtedy w Kwidzynie ekipę WKKW w składzie Marian Babirecki, Andrzej Orłoś, Andrzej Kobylński i Marek Roszczyński.

Z wyjątkiem Roszczyńskiego, który tuż przed wybuchem wojny ukończył Szkołę Podchorążych Kawalerii, pozostali byli już wychowankami Polski Ludowej. Dwaj pierwsi, Babirecki i Orłoś należeli do niezwykle wszechstronnych jeźdźców. Zapisali oni na swoim koncie tytuły mistrzów Polski we wszystkich trzech konkurencjach: skokach, WKKW i ujeżdżaniu konia.

Marian Babirecki zdobył sobie ponadto sławę jako jeździec przeszkodowy, na słynnym torze w Pardubicach. Był rok 1956, kiedy Państwowe Tory Wyścigów Konnych skompletowały ekipę do najcięższego, oprócz Liverpoolu, mitingu naszego kontynentu. Babirecki, który jazdy konnej nauczył się na torze we Wrocławiu pod kierunkiem oficera kawalerii Jarosława Sucliorskiego, okazał się niezwykle odważnym i utalentowanym jeźdźcą. Został więc włączony do ekipy na koniu pełnej krwi „Baracz“, który dobrze się już zademonstrował na trasach wytrzymałościowych WKKW.

Niezwykle barwnie opowiadał potem Marian o udziale w pardubickich gonitwach. „Baracz“ startował tam dwukrotnie. Pierwszego dnia brał udział w gonitwie o „Nagrode Wołgi“, podczas której wywinął koziołka na wysokiej herdzie z rowem. Jednakże Babirecki, były pięcioboista, szybciej niż inni leżący obok niego jeźdźcy potrafił wdrapać się na konia i dobrnąć do celownika na drugiej pozycji, za jedynym jeźdźcą, który nie zetknął się z ziemią.

Większy pech spotkał naszego jeźdźcę w Wielkiej Pardubickiej, długości 7 kilometrów, na trasie której jeżyło się 30 potężnych przeszkód. Marian wspomina do dziś tę gonitwę z wypiekami na policzkach.

— Kiedy na znak startera ruszyło kilkadziesiąt koni, poczułem się — opowiadał Babirecki — niczym jeden z naszych dawnych rycerzy, szarżujących pod Grunwaldem lub Wiedniem. To rozkosz pędzić w takiej masie, mając przed oczami przedsmak niebezpieczeństwa. Tam w Pardubicach to niebezpieczeństwo kryło się za potężny - mi przeszkodami w postaci szerokich rowów. Mało który koń łapał przednimi nogami grunt poza rowami. Większość waliła się do wody. „Baracz“ pędził jak szalony. Przez 5 kilometrów prowadził całą stawkę wykonując tak wspaniałe skoki, że dziesiątki tysięcy widzów zgromadzonych wokół trasy wydawały okrzyki zachwytu.

I oto nagle, nie na przeszkodzie, lecz na równej wydawałoby się drodze „Baracz“ zwałił się wraz z jeźdźcą. Po prostu wpadła mu noga, w dziurę na torze. Marian zerwał się, wskoczył na konia mając oczy pełne piachu, ale zobaczył już przed sobą końskie zady. Zaczęła się mordercza gonitwa. „Baracz“ fruwał nad przeszkodami, wyprzedzając konia po koniu. Na dwieście metrów przed celownikiem pozostał mu tylko jeden czeski koń. Gdyby do końca trasy było o kilkanaście metrów dalej „Baracz“ byłby pierwszy. Przegrał bowiem tylko o pół długości szyi. Takich to jeźdźców, bo również Orłosiowi i innym nie można odmówić tak zwanej kawalerskiej fantazji, ma polskie jeździectwo.

W Rzymie Babirecki na „Wołcie“ zajął 8 miejsce. Był wspaniały na próbie wytrzymałości, ale za dużo punktów stracił na czworoboku. I tym razem surowe oczy sędziów, przyzwyczajonych do oceniania ujeżdżania w myśl maneżowych zasad, dopatrzyły się u Polaków pewnych niedokładności. Punkty karne liczone nawet za sylwetkę jeźdźcy, a że przy każdym ruchu konia zmniejszano punktację za wadliwą ich zdaniem sylwetkę, zebrało się Babireckiemu sporo punktów. Obliczono potem, że gdyby sylwetka Babireckiego nie była źle oceniana, to po odjęciu punktów ujemnych za ten błąd, Polak zdobyłby brązowy medal. Orłoś był 17, ale dopiero po założonym proteście, bo sędziowie próby skoków chcieli

go zdyskwalifikować za rzekomy najazd na jedną z przeszkód niewłaściwą drogą. Interpretacja sędziów okazała się jednak niesłuszna.

Po udanej próbie w 1960 roku, gdzie tylko kontuzje koni zdekompletowały ekipę, poczęto przygotowywać się intensywnie do wyjazdu do Tokio. Wyniki ekipy WKKW na zawodach międzynarodowych były bardzo obiecujące. Miała ona szanse na wysokie lokaty na Igrzyskach w 1964 roku. Niestety. Wyprawa do Tokio była zbyt kosztowna. Jeźdźcy pozostali w kraju, ale już następnego roku na Mistrzostwach Europy w Moskwie Babirecki zdobył na „Volcie“ tytuł mistrza Europy, a Zbigniew Ciesielski na „Skoku“ był piąty.

Niezbadane są systemy podejmowania decyzji przez MK01. Po Igrzyskach w Japonii zlokalizowano następne na dalekim zachodzie — w Meksyku. Odebrało to jeźdźcom zapał do przygotowań. Ale życie płata nieraz figła. Słabiej dotychczas od WKKW notowane na arenie międzynarodowej skoki, zaczęły czynić szybkie postępy. Dobrała się stawka dobrych koni i pojawiła się na firmamencie naszego jeździectwa gwiazda pierwszej jakości.

Kiedy Jan Kowalczyk na „Drobnicy“ względnie „Roncevalu“ wjeżdżał na parcours w Akwizgranie, Londynie, Rotterdamie lub na innym torze, widzowie przerywali rozmowy, bo wiadomo było, że zaraz dziać się będą rzeczy niezwykle. Ten jeździec nie umiał startować z wyrachowaniem. Kontynuował „polskie tempo“ jakim prasa szwajcarska nazwała galopy jego poprzedników, którzy przed Igrzyskami 1924 roku zwyciężali w Lucernie.

PK01 wahał się, czy wysłać skoczków do Meksyku. Tymczasem Kowalczyk na „Drobnicy“ wygrywał konkurs za konkursem. Chyba kropkę nad „i“ postawił ten jeździec w czasie lipcowego CHIO w Akwizgranie w 1968 roku, a więc na kilka miesięcy przed Igrzyskami. Jedną z najważniejszych konkurencji tego mityngu jest „Konkurs mistrzów“. Do startu uprawnieni są mistrzowie olimpijscy, świata, Europy i poszczególnych krajów. Konkurs rozgrywany jest w najcięższych warunkach, na przeszkodach dochodzących do wysokości 160 cm, z rowem 5-metrowym. Tylko pięć koni przeszło wtedy ten parcours bezbłędnie. Do rozrywki podwyższono przeszkody na 170 cm. Publiczność z zapartym oddechem obserwowała tę wspaniałą walkę. Tu już nie tylko trzeba przejechać czysto, ale żeby wygrać należy pokonać parcours w jak najkrótszym czasie. Jadą więc jeźdźcy niezwykle uważnie, ale skrcają najazdy na przeszkody, aby przy każdej okazji urwać bodaj ułamek sekundy. Kiedy jako ostatni miał jechać Kowalczyk trzech jeźdźców miało już przebieg ponownie bezbłędny z różnicami czasu o parę dziesiątych sekundy.

Ale oto otwarły się szranki i natychmiast po zapowiedzi: „Drobnica“ pod Janem Kowalczykiem — Polska, wpadła jak burza na płytę stadionu mała, ciemno-kasztanowata klacz, niosąc na swym grzbiecie jeźdźca, który postawił wszystko na jedną kartę. Albo zwycięży i zaimponuje 20-tysięcznej widowni, albo zrzucając kilka przeszkód będzie piąty. „Drobnica“ frunęła wprost ponad tymi wysokimi przeszkodami. Nie było dla niej ani wysokości, ani szerokości, ani trudnych najazdów. Po prostu był to ijej wielki dzień. Kiedy dobrnęła do celownika szał ogarnął znającą się na jeździectwie publiczność najświetniejszego hipodromu świata. Nikt nie czekał na ogłoszenie czasu. Wiadomo było, że musi być fenomenalny. I rzeczywiście, Kowalczyk pokonał najszybszego przeciwnika aż o trzy sekundy, co wydawało się niemal niemożliwe bo konkurenci gnali przecież fuli pace (pełnym galopem).

Kiedy ucichły wiwaty i tony Mazurka Dąbrowskiego znany olimpijczyk, wtedy trener ekipy RFN, Fritz Ihiedeman powiedział: — Wiele konkursów widziałem w mym życiu, wielu jeźdźców i wspaniałych ich zwycięstw, ale czegoś podobnego jeszcze nie widziałem i na pewno nie zobaczę. To było wspaniałe i równocześnie nieprawdopodobne !

Następnego dnia cała prasa RFN cytowała tę wypowiedź i nie szczędziła pochwał pięciokrotnemu mistrzowi Pollski.

I właśnie te sukcesy Kowalczyka wpłynęły na decyzję PKOl, aby wysłać skoczków na Igrzyska w Meksyku. Oczywiście nonsensem byłoby wysłać tylko Kowalczyka, tym bardziej, że wspaniałe konie mieli również Marian Kozicki („Bronza“) i Piotr Wawryniuk („Poprada“). Do ekipy włączono jeszcze Antoniego Pacyńskiego („Cirrus“).

Sukces „Drobnicy“ w konkursie mistrzów miał się jednak okazać jej benefisem i równocześnie zamknięciem kariery. Niestety koń nie umie mówić, bo gdyby tak było, to po powrocie z Akwizgranu jeździec i trener usłyszeli by z pewnością: jestem tak zmęczona, że dajcie mi teraz odpocząć przez parę tygodni. Tymczasem „Drobnica“ po bardzo krótkim odpoczynku zmuszona była do pracy treningowej ze stale wzrastającym natężeniem, bo zbliżały się Igrzyska. I oto pewnego dnia klacz odmówiła skoku. Niebywała rzecz. Jak to? „Drobnica“ nie chce skakać? Ona, dla której było to zabawą, radością? Zaczęto więc badać przyczyny. Kuleje? A może coś innego? Kiedy nic nie znaleziono, wznowiono trening. Koń, mimo karcenia nadal odmawiał posłuszeństwa. Wtedy dopiero zdecydowano się na odpoczynek i wznowienie treningów aż — w Meksyku. Ale i tam było już za późno.

Brak w ekipie „Drobnicy“, konia na którego się przede wszystkim liczyło w konkurencji indywidualnej, przekreślił nadzieje na przywiezienie z Meksyku, jeśli nie medalu, to bodaj punktowanego miejsca. Parcours olimpijski był bardzo trudny. Indywidualnie najlepszy był Kozicki — 35. W Pucharze Narodów Polacy uplasowali się na 11 miejscu w składzie: Pacyński („Cirrus“), Wawryniuk („Farys“) i Kowalczyk („Bronz“). „Drobnica“ wróciła do kraju, „zwiedziwszy“ tylko Meksyk i mimo usiłowań zmiany jej nastawienia do sportu, pozostała nieugięta w uporze, tak jak kiedyś była nieugięta w walce z przeszkodami i czasem. Powróciła więc do swej rodzinnej stadniny Rzeczna, gdzie rodzi żrebaki. Może któryś nawiąże do sławy matki, a sukcesem olimpijskim udowodni, że i ją było stać na to, gdyby...

Niestety, nie najlepiej spisali się także polscy jeźdźcy w Monachium, choć przygotowania prowadzone przez długi czas i niezbyt męcząca dla koni podróż powinny sprzyjać dobrym rezultatom. I tym razem jednak były kłopoty z końmi, wprowadzające niepewność i nerwowość ekipy.

	1924	1928	1936	1960	1968	1972	razem
Zawodników	6	5	6	4	4	8	33
Finalistów	2	3	1	-	-	-	6

Medale srebrne

1928	Amsterdam	K. Szosland, K. Gzowski, M. Antoniewicz	konk. Skoków druž.
1936	Berlin	Z. Kawecki, S. Kulesza, H. Leliwa-Roycewicz	WKKW druž.

Medale brązowe

1924	Paryż	A. Królikiewicz	konk. Skoków ind.
1928	Amsterdam	M. Antoniewicz, K. Rómmel, J. Trenkwald	WKKW druž.

4 miejsce

1928	Amsterdam	K. Gzowski	konk. skoków ind.
------	-----------	------------	-------------------

6 miejsce

1924	Paryż	A. Królikiewicz, Z. Dziadulski, K. Rómmel, K. Szosland	konk. skoków druž.
------	-------	--	--------------------